

MIKA DUNIN

ANTYPORADNIK

jak stracić męża, żonę i inne ważne osoby

WYDAWNICTWO WAM

WSTĘP

Wszystko zaczęło się od pewnej wymiany e-maili. Ktoś zapytał, czy mogłabym napisać tekst na nieco przewrotny temat: *Jak wychować sobie męża*. I w związku z tym, czy ja w ogóle mam męża? Wypaliłam wtedy, że mogę co najwyżej napisać, jak męża stracić, bo tu mam kompetencje niepodważalne! Straciłam skutecznie jednego. Nie jestem wcale z tego dumna. Ale przyglądając się z perspektywy czasu tamtej sobie, moim przekonaniom, pomysłom na życie i konkretnym zachowaniom, wiem, że inaczej po prostu być nie mogło.

Wypunktowałam wszystkie moje przewinienia, jednocześnie obserwując je u zaprzyjaźnionych lub zupełnie przypadkowych par. To było niesamowite! Mnóstwo ludzi na moich oczach popełniało te same błędy i wydawali się ślepi na to, co robią. Wykazywali wybitny brak logiki, a przy tym jakby nie mieli świadomości własnych działań, a zwłaszcza ich – oczywistych wydawałoby się – efektów. Ale przecież i ja, kiedyś, nie miałam pojęcia, że postępuję nierozsądnie (a czasem wręcz głupio) i poniekąd na włas-

ną zgubę. W dodatku nie tylko własną, bo przecież w małżeństwo zamieszanych jest więcej osób.

Wkrótce pojawiło się zapotrzebowanie na drugą część: skoro kobiety mają już przepis na „utrata męża”, czemu skąpić analogicznej wiedzy mężczyznom? Zaraz potem okazało się, że w podobnie nierozsądny sposób niszczyliśmy inne ważne relacje i tracimy bardzo istotne w życiu rzeczy.

Wiem, że pewne fragmenty mogą niektórych Czytelników mocno wkurzyć (miałam tego przedsmak podczas czytania internetowych komentarzy pod „tekstem startowym” – internet to cudowne medium, tak błyskawicznie pokazuje reakcje odbiorców, przynajmniej w pewnym zakresie). I wiem też, że takie „wkurzanie” to najprawdopodobniej nie najlepszy pomysł na początek znajomości z kimkolwiek. Hm, niestety, nie znam lepszego (a przy tym mniej drastycznego od tragedii, wypadku czy innego nieszczęścia), sposobu, żeby zatrzymać się w tym szalonym biegu i zacząć się zastanawiać nad własnymi przekonaniem i poczynaniami. Ja najbardziej pamiętam te „lekcje”, którym towarzyszyły wstyd i złość. Oczywiście, moje. Wstyd, że ktoś przyłapał mnie na *tak okropnym* zachowaniu. Złość, że próbuje mi coś imputować! Ciekawe jednak było to, że nikt mi tego wstydu nie wcisnął – to ja się wstydziłam, a świadek mojego wstydu, a wcześniej nieodpowiedniego zachowania, może nawet nie miał świadomości, że oto właśnie gdzieś tam w głębi mnie zachodzi jakiś poważny proces.

Nikt też nie wmawiał mi bezpośrednio, że fatalnie postępuję. Zdarzało się, że coś usłyszałam czy prze-

czytałam, coś, co nie było do mnie – osobiście – skierowane. A jednak piekliłam się i burzyłam, bo jakaś część mnie doskonale wiedziała, że temat również mnie dotyczy. Tyle że inna część – znacznie bliższa powierzchni, rządząca i silna – postanowiła za nic się do tego nie przyznać. Dlatego tak zajadle atakowałam „sprawcę” mojego wzburzenia, starając się mu udowodnić, że się myli – byle tylko obronić moje własne racje, przekonania i zachowania.

Przeszłam długą i bolesną drogę od społecznego jamochłona do... trochę bardziej świadomej i mniej zapatrzonej w siebie, mniej egoistycznej formy istnienia. Wiem, że to nie koniec mojej drogi, choć nie mam pojęcia, co jest na tym końcu. A nawet – co jest za następnym zakrętem. Ale nauczyłam się czerpać z doświadczenia innych ludzi. Choć wcale nie miałam na to ochoty – przecież byłam taka wyjątkowa, kto mógłby mi cokolwiek wartościowego pokazać? Wiem, że również z mojego doświadczenia ktoś może skorzystać. Jeśli będzie chciał. Jeśli będzie choć odrobinę mądrzejszy, a może po prostu bardziej zdesperowany, niż byłam ja.